Cena numeru 15 zł

RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok II | 15 czerwca 1947 r. | Nr. 25 (45)



Rys. REGINA KAŃSKA

Maximos Ismet Inönü Truman Marshall de Gaulle de Gasperi

Circ U.S.

JAN CZARNY

MOJE MARZENIE

Mało się jednak człowiek zmienia..
Kiedyś marzyłem jako brzdąc,
i dziś te same mam marzenia,
co dawniej pierś matczyną ssąc.

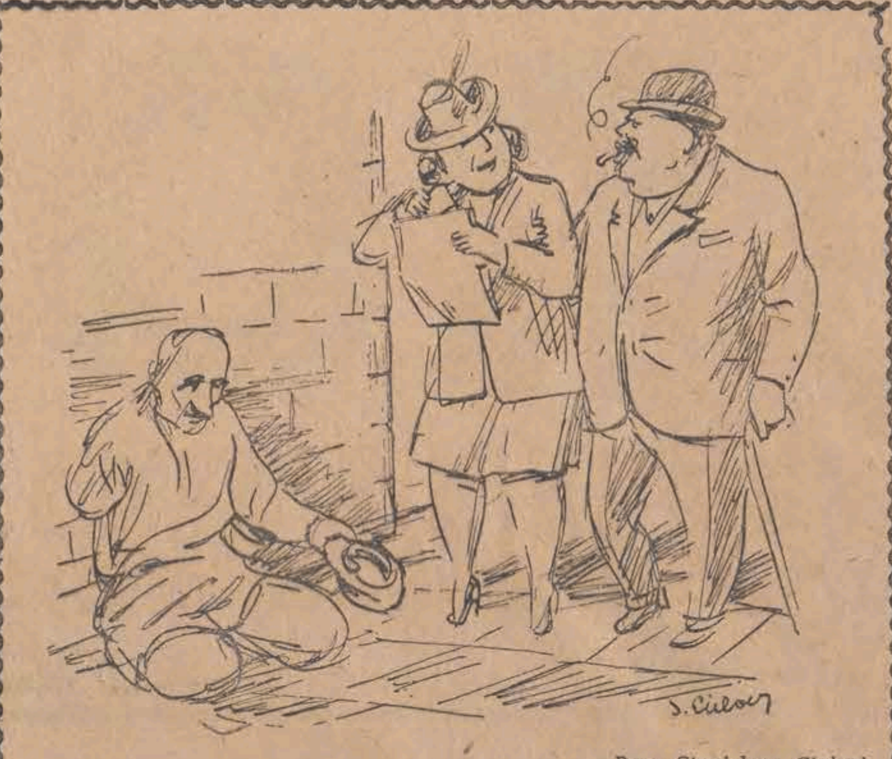
Chciałbym mieć domek, gdzieś za miastem —
powiedzmy kilometrów z sześć —
skromne gniazdeczko, ale własne,
w koło spokojna, polska wieś.

W domku łóżeczko malowane,
(w jakiś ludowy, piękny wzór),
z którego zrywa mnie nad ranem
pierzasty budzik — wiejski kur.

Z frontu okienko z siną szybką,
w którą dziewczyna — puk, puk, puk —
paluszkiem swym zastuka szybko,
nim wejdzie w domku mego próg.

By mnie cieszyło wokół wszystko
i, by radośnie patrzeć w świat,
chcę mieć przy domku moim blisko
bogaty w drzewa wiejski sad.

I choć sielankę mi to psuje,
w sadzie gałęzi chcę mieć moc,
na których łotry, kpy i szuje
dyndają godnie w dzień i w noc.



Rys. Stanisław Cieloch

— Nic mu nie dawaj! Teraz kręci się tylu symulantów!

W ZWIĄZKU Z POLITYKĄ „POŻYCZKOWĄ" U.S.A.



Rys. Kazimierz Grus

Magnes

LUDWIK JERZY KERN

Rózne nasze dzienne sprawy

Ubiegły tydzień przyniósł nam nareszcie tak dawno oczekiwane deszcze. Po majowej suszy, grożącej nieubłaganą katastrofą, deszcze, które spadły w pierwszych dniach czerwca, są prawdziwym błogosławieństwem. Na rozpalone żarem pola opadły wreszcie życiodajne wody.

W tym samym mniejwięcej czasie, kiedy fale zimnego powietrza napłynęły nad Polskę i spowodowały okres niepogody, która skolei wzbudziła radość w sercach szerokich mas, w Zurychu polały się kubły zimnej wody na rozpalone łby niemieckich „demokratów". Tymi kubłami zimnej wody było odrzucenie kandydatury SPD na członka Międzynarodowych Konferencji Socjalistycznych, przez socjalistów całego świata. Najbardziej odczuł to niejaki dr. Schuhmacher Kurt (urträger nowego niemieckiego imperializmu).

Tak jak deszcze zapobiegły katastrofie żywnościowej, tak zimna woda w Zurychu zapobiegła daleko groźniejszej katastrofie, którą mogłoby spowodować zbyt wczesne przyjęcie Niemców do społeczności świata. Czyli — jak powiedział kiedyś wieszcz — „Zawcześnie kwiatku, zawcześnie..."

*

Anglicy coraz wyraźniej wyzwalają się z pod „litościwej" kurateli gospodarczej USA. Dowodem tego jest zawarta ostatnio polsko-brytyjska umowa handlowa, oraz rokowania w tym przedmiocie z ZSRR i Jugosławią, dokąd nawet oficjalnie udaje się minister Noel Baker. W związku z tym prasa amerykańska bije na alarm, pragnąc nie dopuścić do dalszego „bak(i)erowania się" angielskiego kuzyna.

— * —

Temuż samemu ministrowi Noel Bakerowi musimy poświęcić jeszcze kilka słów. Mianowicie: sprowokowany przed kilkoma dniami przez wiceadmirała Taylora, wygłosił on w parlamencie brytyjskim pochwałę lotnictwa polskiego, które brało udział w walkach o Great Britain. Świadczyłoby to o tym, że mimo wszystko Anglicy mają dobrą pamięć. Coprawda dwa lata do namysłu dla wyrażenia uznania, to ogromny szmat czasu, ale — jak mówi polskie przysłowie — „Lepiej późno, niż wcale..."

*

We Francji rząd przeżywa d-ramadier-yczne momenty. Po strajku piekarzy przyszła kolej na kolej. Poprostu kolejarze francuscy doszli do wniosku, że kolejki stojące przed sklepami żywnościowymi nie wiele mogą uzyskać i dla tego trzeba, żeby stanęły zamiast kolejek — koleje...

Ponieważ strajk rozszerza się na inne środki komunikacyjne, obsługa koni paryskiego toru wyścigowego postanowiła także solidaryzować się ze swymi kolegami od koni parowych i proklamowała 24 godzinne przerwanie pracy. Koń coprawda (szczególnie wyścigowy) dawno już wyszedł z komunikacyjnego obiegu, ale nikt nie zaprzeczy, że środkiem komunikacyjnym mimo wszystko jest.

*

Jeśli idzie o resztę „Różnych naszych dziennych spraw" to z obowiązku dziennikarskiego donosimy, że niejaki Franco idiocieje z dnia na dzień, że prezydentowi Trumanowi przypomniała się nagle pewna stara zasada jednego z antycznych wodzów i usiłuje wprowadzić ją w życie i — że u nas odbywa się ostatni etap zabawy w „chowanego". To znaczy: elementy spekulacyjne chowają się, co się da w celach paskarskich, a władze z coraz większym powodzeniem odnajdują obiekty zabawy. Wynikiem tego są coraz bardziej zapełniające się cele..

JERZY ZAJĄCZKOWSKI

List do p. Jackowskiej

(Od Redakcji: otrzymaliśmy list od pani Jackowskiej z Nowego Portu. List z wymówkami i gorzkim żalem. „Zbyt mało — pisze pani Jackowska — doceniacie panowie rolę fiołków, słoneczka, gwiazd, księżyca tudzież bławatków" „Ani słowa — twierdzi pani Jackowska — u panów o młodych przeżyciach i uczuciach najszczerszych. Dlaczego?")

List ten piszę z zacięciem,
z pasją, z werwą, z zapałem,
bo się w jednej Jackowskiej
kiedyś trzy dni kochałem.

Też lubiła słowiki,
sentymenty i kwiatki,
konwalijki, fijołki,
a najwięcej — bławatki.

Ach, bławatki! Te kwiaty
ponad inne ceniła.
Dla bławatków mnie właśnie
ta Jackowska puściła.

A jak było, opowiem...
Jakoś tak o tej porze
poszła moja Jackowska,
by bławatki rwać, w zboże.

Rwała, rwała i rwała,
a gdy kupę narwała,
to po miedzy zielonej
nucąc sobie, wracała.

W duszy mojej Jackowskiej
nastrój był delikatny —
Aż tu nagle z pszenicy
wylazł kupiec bławatny.

(Co tam robił, nikt nie wie,
są jednakże powody,
by przypuszczać, że fragment
kontemplował przyrody).

Siedział ślicznie ukryty.
Pięknem oko swe bawił.
(Kiedy wyszedł, w pszenicy
kontemplację zostawił).

Początkowo się trochę
przestraszyła Jackowska,
ale potem szepnęła:
„Trudno! Ha! Wola Boska!"

„Jestem kupiec bławatny,
pani, widzę, bławatki
kocha. Słusznie zupełnie,
bo to piękne są kwiatki".

Tak powiedział Jackowskiej,
a Jackowska spłoniona,
jakoś silniej pęk kwiatów
przycisnęła do łona.

W końcu zdobył ją mówiąc:
„Że byłoby najlepiej,
gdyby ona bławatki
sprzedawała mu w sklepie..."

Ja odszedłem wzgardzony,
z bólem wielkim i troską.
O! słowiki! O! kwiaty!
O! Jackowsko! Jackowsko!...

*

Odtąd wstręt mam przedziwny
do liryzmu i wzruszeń,
a kobiety liryczne
maltretują i duszę.

*

Po tej bajce prawdziwej
zechciej teraz o, Pani,
tych słów kilka przeczytać,
bo pisane są dla Niej.

Pragnie Pani liryzmu,
Pragnie Pani, by wiersze
miały „młode przeżycia"
i „uczucia najszczersze".

Pragnie Pani księżyca,
i słoneczka i maja,
jednym słowem wszystkiego,
co subtelnie nastraja.

Widzi Pani, możnaby
pisać sobie byle co:
że słowiki — śpiewają,
że są gwiazdy, że świecą.

Że zielone ogrody,
że trawniki, że skwery,
lecz to wszystko (przepraszam!)
warte... cztery litery.

Bo gdybyśmy być chcieli
dyrdymałek wieszczami,
diabli wiedzą, co za rok
mogłoby się stać z nami.

I kto wie, czy w efekcie
nie musiałaby Pani,
zamiast Portu Nowego,
nowej szukać przystani...

JAN HUSZCZA

CHARAKTERY

Ilekroć rozmowa schodzi na temat ludzi, określanych przymiotnikami „niezłomny", „twardy", czy „nieugięty" — zawsze na pierwszym miejscu wymieniam konsumenta alkoholu.

Cóż to za wspaniałe charaktery! Łamią wszystkie przeciwności i zapory dzielące je od nadmiernego spożycia C 2 H 5 OH.

Z pośród niezliczonych przykładów, jakie nasuwają się pióru, można poprzestać na kilku pierwszych lepszych, aby całkowicie uzasadnić nasze twierdzenie.

Poprzestajemy....

Rudolf Jamczyk, poeta: Jako reumatyk, dnie spędza w łóżku. Z nastaniem godziny 20ej, przezwycięża jednak cierpienie. Jęcząc z bólu ubiera się. Przy pomocy życzliwych, uczynnych domowników, zsuwa się ze schodów i jedzie do znanego lokalu „Esplanada". Tam odrazu wpada w dobry nastrój, tańczy i śpiewa do rana. Leczenie reumatyzmu postanowił na kilka lat odłożyć. Postanowił róównież odłożyć pochłaniające masę czasu czytanie książek. W ub. roku — wstępując w ślady licznych ludzi pióra — przeczytał tylko powieść Jerzego Seweryna „Barbaro kłamiesz".

Eustachy Prąciak, porządkowy dziennikarz z dwudziestopięcioletnim stażem: Ryzykując wyrzuty sumienia połączone z tęsknotą porzucił dom i trzyletnie dziecko. Od dwóch lat chodzi w przydeptanych tennisówkach i w wytartym damskim płaszczu, dzięki czemu zaoszczędził sobie pieniędzy, którymi co wieczór zasila kasę zakładu gastronomicznego „Pod różowym obłokiem".

Zofia Pompadur, pani z towarzystwa, chora na anginę pectoris: Twierdzi, że pije dla przyjemności, ręce jej przytem drżą jak ratlerek, a twarz przypomina kawałek spleśniałego sera holenderskiego.

Grados, major partyzant: Pijaństwo umiejętne połączył z tłuczeniem naczyń, co wydatnie zwiększa koszta. Aby im podołać wyrzekł się teatru. Do kina uczęszcza tylko na bezpłatne seanse w święta narodowe, czyli nie częściej, niż raz na osiem dni.

Juliusz Cezar, magister, właściciel perfumerii: Po ostaniem, miesiąc trwającem pijaństwie dostał plam na wątrobie, permamentnej czkawki i wpadł w melancholię. Był już bliski załamania, czyli omal nie zerwał z dotychczasowym trybem życia, zwłaszcza, że podczas jednego z nocnych powrotów otrzymał kilka tłuczonych ran głowy. Szczęściem do załamania nie doszło, gdyż czuwali przyjaciele. Ci, z hasłem „co użyjem to dla nas" na ustach, zwerbowali mgr. Cezara z powrotem do restauracji.

Zygmunt Kamieniecki, ślusarz: Również nikomu nie daje się zdystansować.

Celestyna Montelupi, aktorka: Pije dwa razy w tygodniu. Za każdym razem przechodzi ostry katzenjammer i przysięga, całując gipsowego Moliera, że piła poraz ostatni w życiu. W związku z tym gipsowy nos Moliera stał się płaski od całowania.

Gustaw Pośpieszka, przedstawiciel wolnych zawodów; M. Popend, referent; Ciepołowiczowa, akuszerka; Niemusiałkówna, ekspedjentka; Foxinski, trybun ludowy; Machajowie, małżeństwo w stanie separacji od łoża; Ośminka, prestidigitator: Po awanturze, jaka miała miejsce w nocnym lokalu „Marabut", znaleźli się w klinice chirurgicznej. Dzięki zapobiegliwości lekarskiej wszystkie kuracje szczęśliwie dobiegają do końca. Mamy nadzieję, że wkrótce znowu ujrzymy to niestrudzone towarzystwo w „Marabucie"...

Wyżej wymienionym, oraz milionowej armii tych wszystkich, których ze względów technicznych nie mogliśmy wymienić — w imieniu Państwowego Monopolu Spirytusowego tudzież właścicieli zakładów gastronomicznych zasyłamy serdeczne pozdrowienia i wyrazy niekłamanej wdzięczności.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

JAK PISAĆ WIERSZE FILOZOFICZNE

Przede wszystkim nie każdy może się na to porywać. To nie erotyk, któremu podoła byle sztubak. I nie wiersz egzotyczny, w którego tworzeniu dopomoże usłużnie atlas i encyklopedia. Tu trzeba głębi, współżycia z Absolutem, koleżeństwa z życiem i ze śmiercią, pokumania się z mare tenebrarum i ultima thule. A to się zdobywa po długim, nieraz całe życie trwającym nowicjacie. Na dobrą sprawę wiersze filozoficzne powinno się pisać dopiero po śmierci wystukując je nogą od stołu na seansach spirytystycznych. Ale nie każdego stać na taką cierpliwość, by czekać aż swego zgonu. Podam więc tu kilka wskazówek, jak się zabierać do tego rodzaju twórczości, zdając sobie zresztą dobrze sprawę z ich niedoskonałości.

A więc w wierszu filozoficznym nie należy się nigdy silić na niezrozumialstwo, odpowiedniejsze z wielu względów praktycznych raczej do wierszy miłosnych. Tu właśnie trzeba precyzji myśli, jasności i prostoty. Dawniej poeta-filozof uciekał się do całego arsenału rekwizytów, aby jak Asnyk pochylony nad głębiami z chaosu mgławic, pierścieni czy lecących ptaków, lub jak Tiutczew z mroku nocy wyłonić myśl zawrotną. Dzisiaj, zgodnie z duchem postępu, realizmu i ogólnej demokratyzacji zasadnicze tematy filozoficzne: śmierć, życie, wszechświat, Bóg, człowiek i jego postawa — należałoby wiązać ze sprawami najbardziej codziennymi, odskocznię dla dociekań filozoficznych radziłbym szukać w przedmiotach najzwyklejszych — w takich — „o których się żadnym filozofom nie śniło" dawniej, że mogłyby ich umysł zapłodnić.

Ot, weźmy np. taki obrazek: kawiarnia, zgiełk, gwar, dym z papierosów, ludzie pochyleni nad szklanką czarnej — właśnie czarnej. Czy ten widok nie prowokuje po prostu do skreślenia takiego oto króciutkiego a jakżeż porywającego swą głębią czterowiersza:

> Smakuje wam ta czarna kawa,
> C z a r n a i choćby czarnej pół,
> c z a r n a jak czarny ten karawan,
> co w czarny was zawiezie dół...

A ten błękitny dymek unoszący się w górze nad głowami palaczy, czyż nie prosi się o taką znowu nie mniej głęboką refleksję:

> **Cóż, papierosy wciąż palicie**
> **wpatrzeni w ich błękitny dym,**
> **a któryż z was pomyśli: życie**
> **ma coś wspólnego także z tym?**
> **Że jak ten dym, tak samo właśnie**
> **ulata wciąż coś z waszych sił**
> **i jak papieros — kiedyś zgaśnie**
> **i życie, zostawiając pył?**

Dwa powyższe przykłady to wzory wierszy pesymistycznych, których twórcy myśl o śmierci nie opuszcza nigdy. Ale i wiersz autora o postawie wręcz przeciwnej nie wymaga również nadmiaru akcesoriów. O to chodzi, że zwykły śmiertelnik przechodzi obok wszystkiego, co go otacza, obojętnie, za zupełnie naturalne np. uważając, że ziemię ma pod nogami, a nad głową niebo. Zadaniem filozofa jest otworzyć oczy na dziwności otaczającego nas w świecie porządku, którego nasz zblazowany powszedniością wzrok nie dostrzega zupełnie. W tym sensie napisany wiersz optymistyczny mógłby wyglądać w ten sposób:

> **Jak mądre wszystko jest w naturze,**
> **jak wszystko ma swój sens i cel:**
> **na dole — ziemia, niebo — w górze,**
> **w lecie — zieloność — w zimie —**
> **biel!**
> **A człowiek, twór doskonały,**
> **ma wzrok i słuch, nos: dziurki dwie,**
> **by nimi chłonąć świat wspaniały**
> **po wszystkie życia swego dnie!**

Dwojaką postawę wobec życia można lapidarnie ująć w takiej oto filozoficznej formule. Wiersz ten napisany w okresie referendum miałby również wartość propagandową:

> TAK — **jedna zgłoska, a w niej wszystko!**
> **Przyjmuję życie! Zgoda! Fakt.**
> **Bom w afirmacji optymistą**
> **i wierzę w jutra bity trakt.**
> NIE — **trzy litery, a jak dużo**
> **i jakiż wieje od nich chłód:**
> **zmęczony-m życia już podróżą,**
> **czas zaspokoić grobu głód!**

Na zakończenie przytoczę gnomę „Łza" ujmującą w zwięzły sposób odwieczną antynomię między materializmem a idealizmem:

> **Wytwór gruczołów. W smaku jak sól**
> **słona**
> **ma wzór chemiczny — jakieś tam litery,**
> **A może miłość kapie to skroplona**
> **i ból i rozpacz ma w niej wyraz**
> **szczery?..**

K. A. Jaworski

KAROL KOWALSKI

OSZCZĘDNY FACET

Teofil Prymulka, mój przyjaciel, jest zdolnym poetą. Pisuje zgrabne wiersze, którymi wzruszają się młode panienki i gorszą starsze damy.

Poza tym potrafi napisać cięty wiersz satyryczny oraz jędrną fraszkę. Jednym słowem człowiek do wszystkiego. To też zarabia wcale nieźle. Inny za te pieniądze, które on zarabia, utrzymałby żonę, dwoje dzieci, teściową i ostrowłosego teriera.

Inny, tak — ale nie Prymulka!

Prymulka nie potrafi utrzymać nawet siebie. Jest bowiem namiętnym zbieraczem pustych butelek po wódce. Taka mania. Inny zbiera znaczki pocztowe, a Prymulka uważacie — puste butelki po gorzale.

Gdy zobaczy gdzie jaką butelkę wódki, zaraz ją kupuje, opróżnia nerwowo i odstawia pustą do kolekcji.

Przyszedł do mnie w ubiegłą środę.

— Słuchaj — powiada — Karolku kochany...

— Ile? — przerywam.

— Co ile?

— Ile potrzebujesz? Bo skoro mówisz „kochany", to już wiem, po co przyszedłeś...

Obraził się i nawet nie chciał ze mną mówić. Tylko na palcach pokazał, że „pięć"...

— Pięć setek? — spytałem z westchnieniem.

Skinął głową.

Sięgnąłem do portfela i wyjąłem zielony banknot.

— Masz — powiedziałem — ale przyznam się, że mi wstyd za ciebie!

— Dlaczego? — zdziwił się Prymulka. —

— Jakto dlaczego? Ja zarabiam mniej niż ty, ceniony poeto, a jednak nie tylko od nikogo nie pożyczam, ale jeszcze mogę pożyczyć tobie. A ty stale jesteś w długach! Jak ty się prowadzisz człowieku??

Prymulka uśmiechnął się.

— No, teraz poprowadzę cię do „Pickwicka"... Zjem porcję nereczek i golnę karafeczkę!

Załamałem ręce.

— Przyjacielu — powiedziałem poważnie — przecież nie jesteś już młodzieniaszkiem! Masz trzydzieści lat z okładem. A ty nawet na chwilę nie pomyślisz o tej swojej trzydziestce!

— Wolę myśleć o „czterdziestce" zakropionej!... — mruknął Teofil.

Popatrzyłem na niego z politowaniem.

— Ciebie trzymają się żarciki! A pomyśl, że może przyjść starość... I co wtedy? Czy pomyślałeś kiedy o tym? Czy odłożyłeś co kiedy na czarną godzinę???

Teofil Prymulka wyprostował się nagle z godnością i odparł:

pomyślałem! Odłożyłem sobie coś nie coś na czarną godzinę...

— Co ty mówisz?!

— To, co słyszysz! Chodź, zaraz ci pokażę.

Zaintrygowany niezmiernie, wziąłem kapelusz i wyszliśmy. Szliśmy jakiś czas żwawym krokiem.

— Dokąd mnie prowadzisz?

— Do „Pickwicka".

Nic nie odrzekłem. Przyszliśmy do tej restauracji. Prymulka rozejrzał się i uśmiechnął się uprzejmie pod adresem czterech grubych panów, którzy siedzieli w kącie przy suto zastawionym stoliku.

— Chodź — powiedział do mnie — zapoznam cię z nimi.

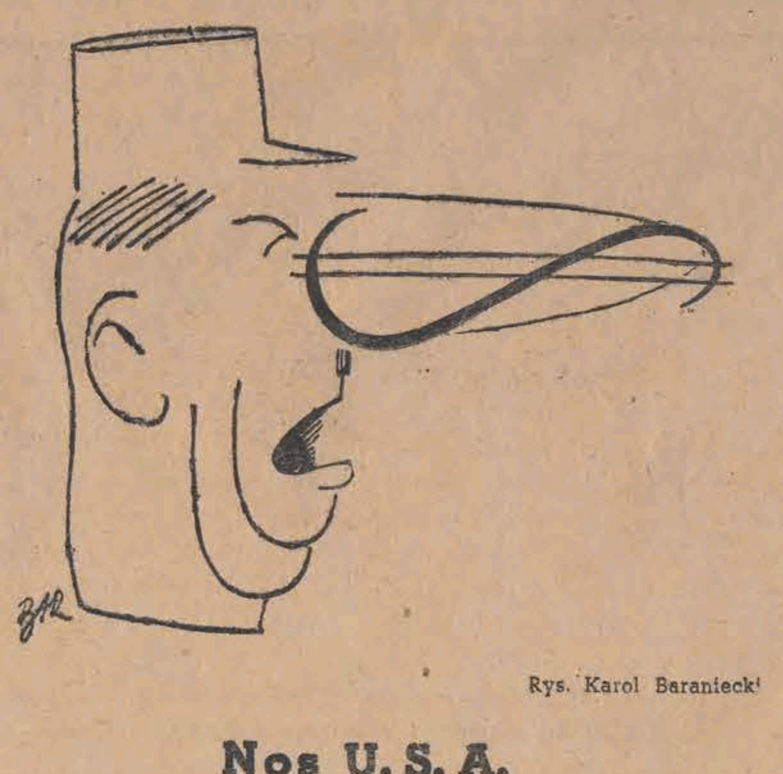
Zbliżyliśmy się do stolika grubych panów.

— Serwus! powiedział Prymulka wesoło. — To, uważasz Karolku, jest pan Szabrowanko, To pan Tutan, wydawca, a to pan Hapalski, przemysłowiec... Proszę panów, czy jestem któremu z panów winien choć grosz?

— Pan? Skądże? Ani grosza! — zawołali grubi panowie chórem.

— A widzisz! — wykrzyknął Teofil Prymulka z triumfem — To są moi znajomi, których chowam na czarną godzinę! W razie choroby, albo starości. No i co — może jeszcze powiesz, że nie jestem oszczędny???

AMERYKA „WTYKA NOS" W SPRAWY FRANCJI



Rys. Karol Baraniecki

Nos U. S. A.



UBRANIE PANA

Nie będziemy mówić o skromnym uczciwym urzędniku, który wygląda jak popielniczka lub kałamarz, a który od lat nosi jedno i to samo ubranie, ciemno popielate w czarne przecinki i uważa siebie za istotę tak mało ozdobną, że w ogóle o ubraniu nie myśli. Dawniej zamiast „gość“ lub „facet“ mówiło się „spacerowicz“. Otóż przeciętny „spacerowicz“ o niczym tak wiele nie myśli jak o ubraniu i jest to dla niego sprawa równie ważna, a może nawet ważniejsza niż dla kobiety. Kobieta, jeśli koniecznie chce pójść na jakąś zabawę, a nie ma się w co ubrać, to ściągnie ze stołu obrus, a z okna firankę, uklecí z tego wraz z krawcową, nową „kreację“ i bawi się świetnie. Spacerowicz jest pod tym względem bardziej ambitny i, gdy ma lepsze ubranie u krawca (dane do poprawki) a gorsze poprzecierane niewidocznie na kolanach, mówi, że „życie byłoby znośne gdyby nie przyjemności“ i że woli pozostać w domu. Dlaczego moda męska nie wynalazła dotychczas dla spacerowiczów drewniaczków, kapelusików ze słomki papierowej ect? Dlatego, że mężczyźni są o wiele większymi od nas snobami na ubranie i „byle czego“ na siebie nie włożą. Zazdroszczą nam naszych ubraniowych figli, ale by ich za nic nie nosili. Najlepszym dowodem, jak nam tych cudów zazdroszczą, to podświadomy gest każdego prawie mężczyzny, ażeby przymierzyć nowy kapelusz żony czy przyjaciółki. Wkładają go w sposób idiotyczny i wygłupiają się w nim przed lustrem. Rozmowy tych panów też zwykle nie kręcą się koło polityki lub kokietek, ale koło materiałów i nowych ubrań. Podsłuchajmy tylko rozmowy dwóch przypadkowo spotkanych na ulicy lub w kawiarni kolegów, a zaraz się o tym same przekonamy. Zaczyna się od skubania w rękaw.

— Przydział?

— Och ty ciężki frajerze, nie widzisz, że to bielski materiał!

— Ile płaciłeś?

— Trzydzieści za cały kupon. Niedrogo.

Kolega zielenieje z zazdrości jak każda kobieta w tym wypadku.

— Ale to nie jest czysta wełna? — mówi zjadliwie.

— Ty się znasz! Nie jest czysta wełna? Mogę trzy dni spać w tym ubraniu i nie pogniecie się — Popatrz! — tu zaczyna się gniecenie w garści rogu marynarki — No, co? — Gniecie się czy nie?

— A ile dałeś za robotę?

— Niedużo, dziesięć tysięcy z dodatkami.

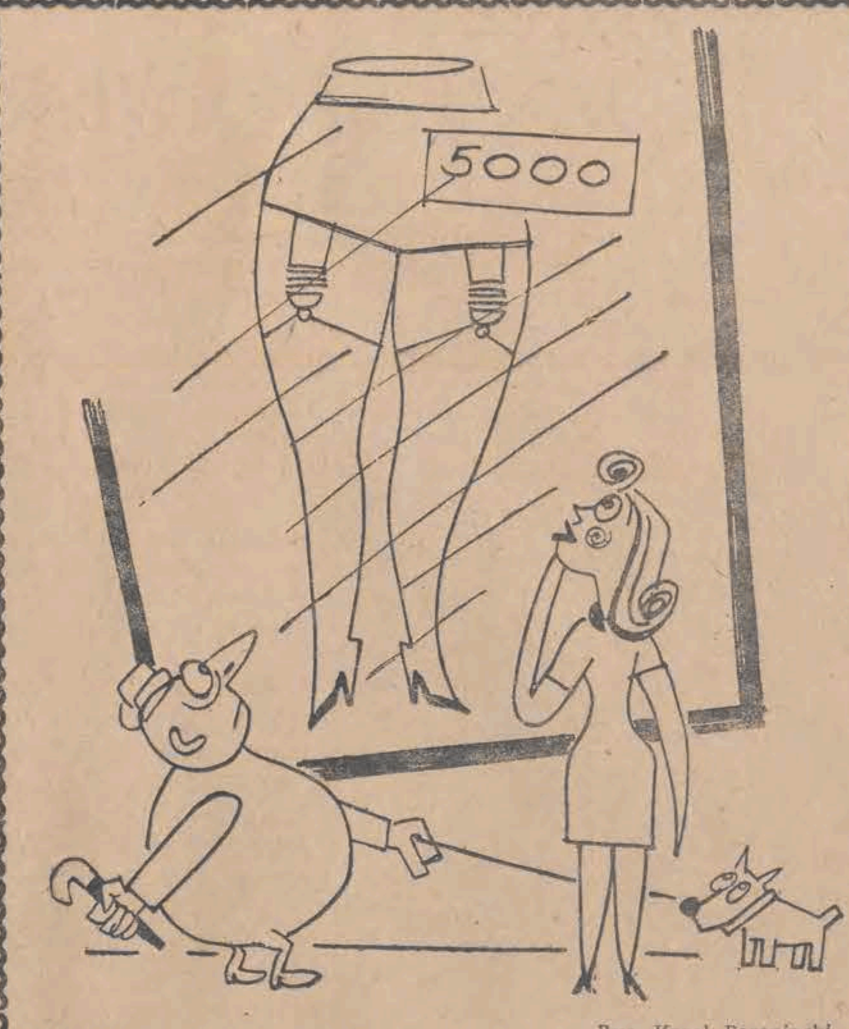
— To widać. Dobry krawiec musi dzisiaj brać o wiele więcej. Ale, jakie ja będę miał ubranko Uważasz „anglik“, jasno-popielaty, rodzaj flaneli, ale o wiele fajniejsza od flaneli. No, i daję sobie uszyć u najlepszego krawca. Widzisz, mnie mnie nie stać na to, ażeby się tandetnie ubierać.

W dalszym ciągu rozmowa zaczyna się kręcić koło kapeluszy.

— Takich kapeluszy jak twój nikt już nie nosi. Zagranicą tylko szerokie ronda, no, i nigdy ten krawat z tą koszulą do tego ubrania.

Gdy rozmowa tego rodzaju prowadzona jest w domu prywatnym, panowie poczynają zdejmować z siebie marynarki, przymierzać, korygować się przed lustrem, wciągać w siebie brzuszki i sztywnym krokiem spacerować po pokoju. Dla naszych „strojnisiów“ jest najboleśniejsze, gdy im kochająca kobieta sprawi coś do ubrania. Mają oni swoje ubraniowe nawyczki i upodobania i żadna kobieta nie jest w stanie im pod tym względem dogodzić. Nadchodzą więc imieniny i wzruszona kochanka przynosi w bibułce cudny krawacik, który tak pięknie wyglądał w rękach subiekta. Krawacik jest żółty w szerokie, czerwone, atłasowe pasy, a każdy z pasów ujęty jest w czarny brzeżek.

— Będzie ci w nim szalenie do twarzy! — mówi skromnie przyjaciółka.



Rys. Karol Baraniecki

ŁADNY PASEK!

Mężczyzna wie już po pierwszym spojrzeniu, że będzie w nim szalenie do twarzy — szufladzie, ale musi, jeśli jest dobrze wychowany, okazać wdzięczność i radość. Przytyka go więc do brody, cmoka ofiarodawczynię w rączkę i mówi, że właśnie taki.

— Włóż go zaraz — piszczy kobietka

— Nie mogę — kłamie — bo nie mam odpowiedniej koszuli.

I tu dopiero zaczyna się prawdziwa toaletowa tragedia. Kochaneczka jest szczodra, leci do miasta i kupuje koszulkę „odpowiednią“ do krawacika. Jak wygląda owa koszulka, łatwo sobie wyobrazić. Cała w paseczki czerwo-żółte. Paniusieczka jest zachwycona.

— Pasuje, prawda? —

Nieszczęsny obdarowany nie może się już wykręcić i musi to wszystko włożyć na siebie.

— A teraz pójdziemy do kawiarni, muszę cię pokazać w moich damach.

— Ja bym wolał do kina... a najchętniej przespałbym się z tobą, troszeczkę na tapczanie... taki jestem zmęczony... tyle wrażeń...

— Mowy nie ma! Idziemy na spacer, a wieczorem zaprosiłam do siebie wszystkich twoich kolegów. Boże jak ty cudnie wyglądasz w tej koszuli i w tym krawacie. Inny człowiek. Co to znaczy odpowiednie ubranie.

W małżeństwie, które jest instytucją o wiele wygodniejszą od „wolnej“ czyli niewolniczej miłości sceny takie zwykle nie istnieją.

—I ty myślisz, że ja to na siebie włożę? Wstyd by mi było pokazać się w tej koszuli gdziekolwiek. Powiedz gdzieś to świństwo kupiła i pójdziemy odmienić.

Magdalena Samozwaniec

A zaczęło się od tego, że mówił:







Rys. Adam Bieńkowski

...Kobieta, którą wezmę za żonę, musi być ładna, zgrabna i reprezentacyjna!

...żonę należy trzymać krótko i musi znać twardą rękę męża!

...w obecnych warunkach wystarczy trochę kapitału i sprytu, a można gwizdać na pracę!

MACIEJ SŁOMCZYŃSKI

Ilustr. KAROL BARANIECKI

4 OPOWIADANIA

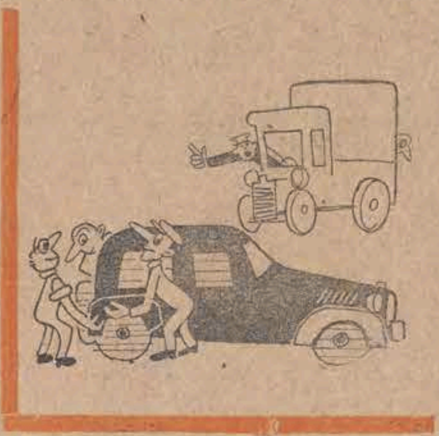
I.

Bruki w Heiderabadzie są tym, czym trzypokojowe wolne mieszkania z wygodami w Polsce —po prostu nie istnieją. To też ciągnący olbrzymią kłodę drzewa słoń potykał się nieustannie o nierówności gruntu. Nagle przednie jego nogi obsunęły się w głęboki dół i zwierzę upadło.

Siedzący na jego grzbiecie ciemny i nagi jak solo saksofonowe chłopczyk, zeskoczył zręcznie na ziemię i stanął na środku drogi popłakując cicho. Wokół le-



żącego słonia zebrał się szybko tłum. Naradzali się gestykulując, wreszcie jeden z ludzi podbiegł w stronę stojącego przy drodze domku i po chwili powrócił z grubą żerdzią. Za jego przykładem poszli inni. Po niecałej minucie kilkadziesiąt żerdzi tkwiło pod bokiem stękającego zwierzęcia, a w kilka chwil później słoń stał już spokojnie na środku drogi.



II.

Zaledwie auto minęło rogatki Chicago — jedna z tylnych dętek pękła jak wiadomość o śmierci gwiazdy filmowej.

Szofer zahamował gwałtownie i klnąc wygramolił się z za kierownicy. Nagle z przeciwnej strony pojawił się samochód ciężarowy i zatrzymał się tuż przy nim

— Cóż to kolego, kicha wam nawaliła?

— Jak widzicie.

— A zapasową macie?

— Mam, ale lewara nie mam i nie mogę podnieść wozu.

— I ja też nie mam, ale spróbuję wam pomóc, jest tu ze mną jeszcze czterech chłopców...

Wspólnie uniesiono tył auta zdjęto koło i nałożono nowe.

III.

Sasza Iwanow pchał przed sobą taczkę naładowaną ciężkimi płytami chodnikowymi. Kładziono właśnie nową ulicę na przedmieściu i Sasza pracował przy budowie...

Przewozić trzeba było kawał drogi taczką. Wiadomo — przedmieście, piasek, wertepy — samochód nie przejedzie.

Nagle trach! — kółko wyskoczyło, ośka pękła taczka siadła jak trumna w komiturach i ani rusz...

Saszka szarpie, pcha, przeklina matkę konstruktora taczek — nic nie pomaga!

Szło dwóch ludzi i chłopiec — taki może lat z piętnaście. Przystanęli wszyscy.

— Ośka wam pękła towarzyszu?

— A, no pękła.

— No to trzeba naprawić.

— Trzeba — zgodził się Saszka — tylko jak?

— Poczekajcie chwilę. Mam w domu oskę podobną do tej tu. Może się wam nada.

— Może.

Chłopiec poleciał po oskę. We czterech wygrzebali taczkę. Założyli kółko. Pasowało wszystko jako tako.

Otarli pot z czół. Saszka pojechał budować ulicę na przedmieściu, a oni poszli dalej w swoją drogę.

IV.

Ulicą Łodzi jedzie wóz. Nie „Horch", nie „Chrysler", żadna w ogóle „aerodynamika", ale zwykła chłopska fura. Na furze obywatel kmieć, staruszek.

Szkapa, ciągnąca furę, wolno człapie, nagle — trach, potyka



się, pada na bruk, nie może wstać. Staruszek złazi z wozu, próbuje konia podnieść. A tu tymczasem zbiegowisko. Kobiety, mężczyźni, młodzież.

— Ej, ojciec — zauważa bystro elegancki „moccasyn" w blezerze z prawdziwej wełny — powozić nie umiecie! Konia trzeba w mieście krótko przy pysku!

— A pewnie! — przytakuje otyły obserwator w Stetsonie za pięć twardych — krótko przy pysku i batem!

Chłop spogląda z pod oka na życzliwych doradców i nic nie mówiąc ciągnie w dalszym ciągu szkapę za ogon.

— Za ogon! — piszczy szlachetna pani z chodnika — Ciągnie konia za ogon! Dręczyciel! Morderca! Puść, chamie, to biedne zwierzę!

Przez tłum przepycha się dama z synkiem.

— Bardzo przepraszam — mówi roztrącając zebranych — Ma ciuś teżby chciał zobaczyć. Patrz synku, jak śmiesznie ten stary chłop skacze koło konika!

Chłopczyk patrzy, śmieje się, klaszcze w rączki.

Chłop sapie, ociera pot z czoła, nie ustając w wysiłkach podniesienia konia.

— Załóżmy się — powiada facet w blezerze do faceta w Stetsonie — że nie podniesie.

Facet w Stetsonie spogląda uważnie na chłopa i jego kobyłkę.

— E — rzecze — to nie jest, panie, takie pewne. Cóż noga się szkapie powinęła, ale może wstać. Tylko, uważasz pan, trzeba się do tego odpowiednio zabrać...

— Właśnie — zgadza się blezer — lecz czyż ta stara fujara potrafi to zrobić?

Mija godzina, nadchodzi milicjant. Ogarnia okiem sytuację i z upomnieniem do zebranych.

— Tfuj, wstyd doprawdy, tylu zdrowych byków stoi i gapi się, a żaden psiakrew, nie pomoże!

Faceta w blezerze i faceta w Stetsonie aż zatyka z oburzenia.

— Nie pomoże? — wykrzykują chórem. — A cóż my innego cały czas robimy? Radzimy przecież jak podnieść konia, ale chłop ciemna masa, ani rusz nie chce zrozumieć!



RODA-RODA

Ciocia Jadwiga

Główną właściwością cioci Jadwigi jest to, że wszystko zawsze przewiduje.

Wydzierżawiłem pewnego razu wiejski domek, do którego należało pięć mórg gruntu. Nie dużo to wprawdzie, ale dosyć, aby ciotka uznała za stosowne osiąść u mnie jako doradca ekonomiczny.

Muszę zaznaczyć, że dochód z mojej posiadłości wcale nie wystarczał na opłacanie takiej siły fachowej, jak ciocia Jadwiga. Przeciętny zysk mój wynosił parę tysięcy złotych rocznie.

Wiedza mojej ciotki wykraczała po za ramy mojego skromnego gospodarstwa. Wiedziała zawsze wszystko. Z dwóch zwierząt ssących (z których jedno mogło być krową) ciotka odrazu wskazywała to, które będzie lepszym koniem cugowym. Znała się na świniach, pługach, bronach, zagonach, kozach, wozach — słowem na wszystkim.

I wszystko zawsze przewidziała...

Oświadczyła, że mój barometr z rtęcią jest niepewny. Z takim staroświeckim instrumentem — twierdziła — nie można prowadzić nowoczesnego gospodarstwa. Włożyła kapelusz, kazała zaprząc bryczkę i pojechała do znanego optyka po aneroid. Przywiozła go i postawiła mi na stole.

Odtąd patrzał się na mnie ten sprzęt swym błyszczącym okiem i wszystko wiedział lepiej — zupełnie jak ciotka.

Niebo było szare, zdolne do wszelakiego występku. Mój stary barometr stał na „zmiennej". Nowy o 10 min. wyżej na „pogodzie".

— Widzisz?,— powiada kochana ciocia — Od czasu, jak mamy porządny aneroid, odrazu jest lepiej z pogodą. Wiemy, co nas czeka.

Właśnie zaczynałem kosić siano. Meldunek Instytutu Meteorologicznego zapowiadał burzę od strony Grenlandii. Mój barometr opuścił ostrzegawczo kąciki ust, ale aneroid szedł do góry. Ciocia promieniała.

Wobec tego nie zebrałem skoszonej trawy, lecz dałem jej schnąć.

Podług statystyki pod Alpami mamy 418 dni deszczowych w roku, z tego 91 do lipca. Do środy 23 czerwca, kiedy rozpocząłem sianokos, mieliśmy już 76 dni deszczowych, i już przypuszczałem, że ten rok okaże się mniej wilgotny.

O 4 rano kukułki kukały rozgłośnie, a ptactwo latało nisko. Aneroid szedł do góry.

O 7-ej rano pierwsza burza. Ale jaka burza!

O 8-ej mieliśmy grad, w południe ulewę, potem śnieżycę, wreszcie mgłę ze szronem.

Ciocia zapewniała, że na pocztcie było napisane. „Nadal pogoda, upał, susza". Ale deszcz zmył te przepowiednie.

Znów spadła ulewa woda zalała łąki, grzmiało, błyskało, czarne chmury wisiały nad nami.

Spadł na pole meteor. Tego mi jeszcze brakowało. Ale ciotka przewidziała, że spadnie.

Po podwieczorku nagle pogoda, łuk tęczy zawisnął na kroplach rosy, Alpy płonęły. Aneroid natomiast opadł.

Skorzystałem z tego i zwiozłem siano. Nastąpiły cztery dni suszy i pogody..:

I tak było ciągle. Aneroid ciotki był zupełnie zwariowany, a ciotka nic tylko przewidywała. W domu moim panowało istne piekło. Bo pomyślcie tylko!

Stary, poczciwy, długi barometr wisi na ścianie. Nowy aneroid stoi tuż obok na stole. Jeden się wznosi — drugi opada. Do króćset fur beczek! Dwa zegary nie muszą iść równo: jeden się śpieszy drugi spóźnia. Ale dwa barometry? One chyba — do stu diabłów i ciotek — nie mają prawa iść własnymi drogami, czy są podłużne, czy okrągłe! No nie? Przecież jest tylko jedno ciśnienie powietrza! No nie?

Nie! Ciotka i jej aneroid inaczej przewidywali. Kukułki kukały — deszcz groził — wszystkie barometry w okolicy opadały — ciotka szła do góry!

Niebo się śmiało — słońce piekło — ciotka wskazywała burzę.

Nie mogłem powziąć żadnej decyzji nie mogłem siać, sadzić, zbierać, murować, poprawiać dachu. Nie mogłem w ogóle żyć. Napięcie dochodziło kresu.

15-go sierpnia nastąpiła eksplozja.

O godz. 10-ej rano sprzedałem gospodarstwo.

Kwadrans na jedenastą wyprowadziłem się.

W ciągu tego kwdransa zabrałem się do ciotki. Z aneroidem w lewej ręce, z długim barometrem w prawej.

Ciotka wyskoczyła oknem. Wyrzuciłem za nią aneroid. Jej ostatnie słowa brzmiały:

— A ja to przewidziałam...

tłumaczył Antoni Panewka



MIĘDZY NAMI

„Bazyli Białogłowy" Warszawa. Mimo bystrych zastrzeżeń, że **„robić fraszki rzecz niełatwa, nim pozszywa słowa dratwa, nim redaktor cię ozłoci, dobrze się napocisz, zwłaszcza nim nastąpi drugie, miną doby długie"** — dodaje sobie Pan t. zn. ducha w słowach: **„ale ty nie żałuj dób i te fraszki rób".**

Nasze zdanie: szkoda dób. Nic pan nie wysiedzi.

Wł. N. (Warszawa) Z nadesłanych utworów, określonych jako: „trochę materiału" zwraca uwagę wiersz pt. **„Budujemy lepsze jutro":**

Pierwszy do lasu zmyka,
drugi wielbi Anglika,
trzeci Mikołajczyka.
Chytrze zmrużona powieka
czwartego: on na coś czeka.
Piąty dla koniunktury
z rodaków zdziera skóry.
Szósty — zły, jak pies warczy
Lecz może już wystarczy?

Wystarczy. Najzupełniej wystarczy. Więcej nie chcemy.

B. I. (Łuczany, woj. Olsztyn) „Życie — pisze pan — czasem kłopotliwe sytuacje stwarza". Nietylko życie, Pan również stwarza takie sytuacje, przysyłając nam fraszki w rodzaju:

Dobrana para — zięć i teść,
w paradę im nie właźcie,
tamten dostawał „sześćset sześć",
zięć „dziewięćset czternaście".

Co poeta chciał przez to powiedzieć — niebardzo rozumiemy. Tak czy owak uważamy, że powinien dostać na goło „tysiąc dziewięćset dwadzieścia" tj. „sześćset sześć" plus „dziewięćset czternaście".

„Ryś" (Łódź) Podaje Pan do wiadomości:

Konserwy z konia
a dżemy z bani,
syrop z kartofla
w zasadzie tani.
Mąka z kasztanów,
z żołędzi kawa —
bycza dla panów
i pań potrawa —

Co kto lubi. Dobrze jednak byłoby, aby zjadł Pan coś pożywniejszego. Organ myślenia m. innymi lepiejby wówczas funkcjonował.

P. S. „Szpilkom" — „Szpilka" — i napisana nieudolnie i b. ordynarna w treści.

Tadeusz Polak (Łomża)

Ojczyzna moja to zielone gaje,
ciche jeziora, srebrzyste ruczaje,
odwieczne bory, nieprzebyte knieje,
tatrzańskie wichury, bałtyckie mierzeje...

I tak dalej — cały „poemat". Zapytujemy: „a czy znasz ty bracie młody?" Jeśli tak, to czemu Polak Pola w grobie rusza? I dlaczego z tym do nas?

Jan E-ch (Głowno) Pański wiersz o deszczu nie podoba nam się. Wolelibyśmy coś lapidarniejszego. Np.

Pada sobie deszczyk,
pada sobie równo,
raz padnie na kwiatek,
drugi raz na Głowno.

Ewa Borczak (Kalisz) Oto fragment wiersza „Do kobiety — poetki":

Módl się codziennie gorąco, szczerze,
do boskiej Muzy, mniejsza o imię,
a przyjmie ona twoje pacierze
i mieć cię będzie w wielkiej estymie.

Nieprawda! Nie — w wielkiej estymie, a w dużym poważaniu.

Juliusz Wierdak (Zakopane), J. Bartczak, Stefan M., A. Wrzos (Łódź) F. Żukowski (Kraków), „Aharemoza" (Poznań), M. Górski, W. Kryszczukajtis (Katowice), „Polonus" (Gdańsk) — zawiadamiamy, że nie skorzystamy.



Rys. Jan Lenica

— Phoszę o okulahy słoneczne, ale bahdzo ciemne, abym mógł widzieć wszystko w czahnych kolohach...



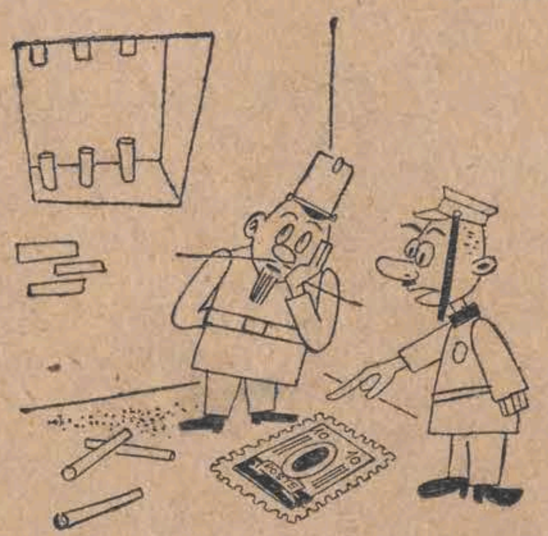
Jan Lenica

— Ciemne piwo proszę.
— Ciemne, mon chéri? Do jasnego ubrania?!!



Rys. Gerry

— Mamusiu, co to jest impotent!
— Spytaj, Jasiu ojca.



Rys. Karol Baraniecki

Rysunek bez podpisu.

ARTUR ROMAŃSKI

Sumienie

Inspektor Czyczynkiewicz, wyszedłszy z hotelu, spojrzał na zegarek.

— Jeszcze czas — pomyślał — Przejdę się po mieście, a potem wstąpię do fryzjera.

Po półgodzinnym wałęsaniu, spostrzegł na jednym z domów szyld: Antoni Sztos, fryzjer męski i damski.

— To tu — mruknął inspektor — Ostrzygę się i ogolę. Na inspekcję trzeba elegancko.

Po chwili siedział w fotelu, z serwetą pod brodą, a wysoki mężczyzna w brudnobiałym kitlu oporządzał mu nożyczkami resztki owłosienia.

— Ładna pogoda — powiedział Czyczynkiewicz, czując, że fryzjer przygląda mu się z jakimś badawczym zainteresowaniem.

— A ta-ak — usłyszał odpowiedź — Pogoda, tego, ładna, ale pan dobrodziej chyba nietutejszy?

— Nie, przejazdem. Na inspekcji.

— Aha — przytaknął fryzjer — uśmiechając się porozumiewawczo — Na ins-pekcji.

Czyczynkiewiczowi zrobiło się nieswojo. Czego ten drab właściwie chce? Trzebaby zapuścić się w bardziej szczegółową rozmowę.

— Przyjechałem — zaczął wyjaśniać — skontrolować tutaj to i owo. Zresztą nie pierwszy raz. Byłem już w waszym mieście...

— Właśnie! ucieszył się niesamowicie fryzjer — Był pan.

Inspektor podskoczył ze zdziwienia na fotelu, ale Sztos tego nie widział, zabrał się bowiem do przygotowywania mydła do golenia i wecowania brzytwy.

— Skąd pan wie, że byłem? — zapytał z niepokojem Czyczynkiewicz, kiedy fryzjer zbliżył się znowu do fotela

— No, sam pan mówił...

— A, tak, rzeczywiście, byłem; mieszkałem nawet parę tygodni. Na ulicy... Zapomniałem. Wiem tylko że u jakiejś wdowy. Córkę miała. Marysia, pamiętam, było jej na imię. Zgrabna dziewczyna i w ogóle pycha.

— Zgadza się — potwierdził fryzjer, szczerząc zęby — Marysia Kompianka. Bardzo zgrabna i pycha.

— Zna pan ją? — ucieszył się inspektor.

— Owszem — odparł wesoło golibroda, mydląc brodę Czyczynkiewicza — To moja żona. Ożeniłem się z nią dwa lata temu...

— Pańska żo-na? —

Inspektor otworzył szeroko oczy i nie czekając aż fryzjer podniesie brzytwę, ryknął głośno z przestrachu, poczem odepchnąwszy gwałtownie Sztosa wyskoczył z namydloną twarzą na ulicę.

— Panie — wybiegł za nim fryzjer — stój pan! Nie bądź pan wariat! Czego pan ucieka? Mam coś dla pana!

Ale Czyczynkiewicz nie słuchał. Biegł jak szalony w stronę hotelu.

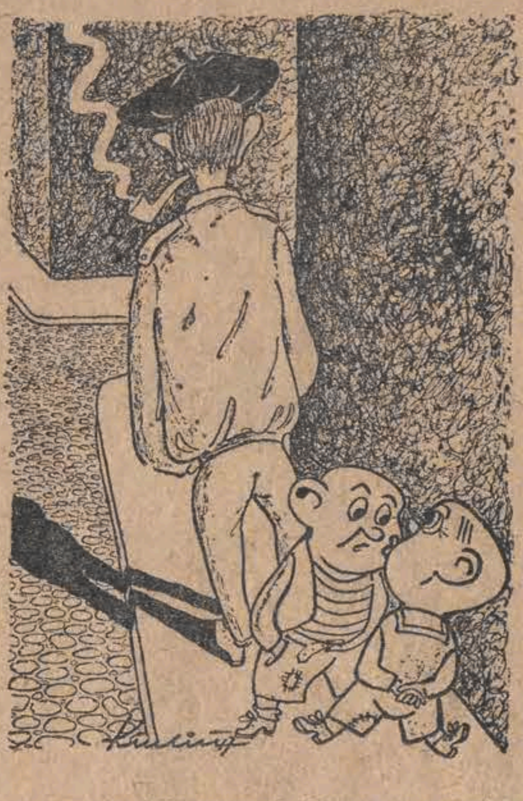
Sztos wzruszył ramionami i stanął w drzwiach razury, przy której zgromadziło się odrazu grono gapiów.

— Co się stało? — pytali zaciekawieni.

— A tu jeden facet kiedyś mieszkał u teściowej. — Wyjechał zostawiwszy teczkę z papierami i fotografią. Poznałem go i byłbym mu oddał, a ten wariat w nogi. Widocznie — tu pokazał znacząco na czoło.



— Ilekroć się pani roześmieje, przychodzi mi na myśl, aby panią zaprosić do siebie.
— I nie wstydzi się pan?
— Czego? Przecież jestem dentystą!



— Dlaczego tak biegasz za tym Anglikiem?
— Chciałem zobaczyć, jak wygląda angielska flegma.
— I co?
— Nie wiem. Jeszcze ani razu nie splunął!



Rys. Zbigniew Kiulin

— Ty nieś szafę, a ja poniosę odpowiedzialność.

„Rózgi" ukazują się co tydzień. REDAKTOR: Stefan Stefański — REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 86 — telefon 254-21. Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42 D-015824